

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/polityka-historyczna/54679,Szacunek-do-przeszlosci-fundamentem-przyszlosci-O-dekomunizacji-przestrzeni-publ.html>



ARTYKUŁ

Szacunek do przeszłości fundamentem przyszłości. O dekomunizacji przestrzeni publicznej

Autor: PIOTR SZUBARCZYK 06.12.2019

Marszałek Józef Piłsudski powiedział kiedyś, że „kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku terażniejszości ani nie ma prawa do przyszłości”. Zawsze przychodzą mi na myśl te słowa, gdy rozmowa schodzi na problem nazewnictwa ulic, placów i wszelkich obiektów w przestrzeni publicznej. W rok od przyjęcia przez Sejm RP ustawy o zakazie propagowania

komunizmu w przestrzeni publicznej coraz rzadziej spotykamy w Polsce szokujące relikty sowieckiego komunizmu.

Trudno mi powstrzymać się od irytacji, gdy czytam lub słyszę po raz nie wiem już który – w mediach posługujących się językiem polskim – że zmiana nazwy ulicy spowoduje kłopoty oraz koszty wymiany dowodu osobistego, papierów firmowych etc. Pomijam bezczelne kłamstwa zawarte w tych doniesieniach, powtarzane z premedytacją od wielu lat. Już bowiem za czasów premiera Jerzego Buzka wydano rozporządzenie o przejęciu przez państwo wszystkich kosztów takich zmian. Nieprawdą jest także, że trzeba wymieniać z tego powodu dowód osobisty. Jest ważny tak długo, jak przewiduje urzędowa data jego ważności. Zresztą, czy na tym polega problem? Czy niewymierne szkody, wynikające z obojętności na to, co serwujemy naszej młodzieży w przestrzeni publicznej – która przecież powinna wychowywać ją w duchu patriotycznym, wspólnotowym – da się przeliczyć na te „kłopoty”? Czy radni, którzy zmieniają nazwę osiedla XXX-lecia Polski Ludowej na osiedle XXX-lecia (tak się stało w kilku miastach, m.in. w Kartuzach na Pomorzu Gdańskim) i są dumni, że tak sprytnie i „oszczędnie” wybrnęli z kłopotu, rozumieją, czemu taka nazwa służy?

Znaczenie nazewnictwa w przestrzeni publicznej odczułem niemal na własnej skórze dawno temu, jeszcze w czasach PRL-u, jako student ostatniego roku na uniwersytecie. Zająć było mniej, dorabialiśmy sobie do stypendium, biorąc w pobliskich szkołach zastępstwa za chorych nauczycieli. Kiedyś zadałem siódmoklasistom temat pracy pisemnej: patron mojej ulicy. Byłem pod urokiem pięknych nazw ulic w tej części Gdańska-Wrzeszcza, przy których mieszkali moi uczniowie: Konrada Wallenroda, Danusi, Wajdeloty, Zawiszy Czarnego, Grażyny, Aldony, Joachima Lelewela, Stanisława Wyspiańskiego. Prace były piękne, kazałem je głośno czytać na lekcjach. Tylko najlepsza w klasie uczennica siedziała ze spuszczoną głową. To było dziecko z porządnego polskiego domu. Nie zauważyłem, że mieszkała przy ul. Feliksa Dzierżyńskiego...

O roku ów...

Niepowtarzalną szansę szybkiego pozbycia się niegodnych patronów przyniosły rok 1990 i pierwsze po wojnie w pełni demokratyczne wybory do samorządów terytorialnych z 27 maja. Ustawa o samorządzie gminnym z 8 marca tego roku dawała radnym pełnię władzy w tym obszarze. Tak jest zresztą do dziś. Zarówno obecna ustawa gminna, jak i powiatowa oraz wojewódzka uznają wyłączną kompetencję radnych w kwestii nazewnictwa ulic, placów, obiektów, patronów szkół, honorowych obywateli miasta etc. Niezwykle irytujące, bo jawnie łamiące prawo samorządowe, są publiczne oświadczenia wójtów, burmistrzów, prezydentów miast w tych kwestiach, mimo braku kompetencji ustawowych. Traktują radnych jako swego rodzaju podopiecznych, którzy jakoś od nich zależą, więc z góry można przyjąć, że się z nimi zgodzą w każdej sprawie...

Jeden z radnych w Koszalinie tak uzasadnił brak zgody na zmianę nazwy ulicy z Gwardii Ludowej na Rotmistrza Pileckiego: »Kiedy idę tą ulicą, to od razu się prostuję i idę sprężystym krokiem, jak gwardzista«.

Kiedyś media doniosły, że Günter Grass, laureat literackiej Nagrody Nobla i honorowy obywatel Gdańska (uchwała Rady Miasta Gdańska z roku 1993), był w młodości w Waffen-SS. Dostał Nobla być może tylko dlatego, że ukrył to przed Komitetem Noblowskim w swoim oficjalnym życiorysie. Oszukał też w ten sposób radnych z Gdańska. Czy w związku z tym powinien pozostać honorowym obywatelem miasta – pytano w mediach trójmiejskich. Zanim radni otwarli usta w tej sprawie, prezydent miasta Paweł Adamowicz napisał list do Grassa, od razu upubliczniony, w którym z góry przeproszał go za przykrości, jakie mogą go spotkać, i w którym zapewnił, że pisarz pozostanie honorowym obywatelem miasta.

Prezydenci, burmistrzowie, wójtowie mogą odegrać pożyteczną rolę jako inspiratorzy zmian, ale nie powinni przypisywać sobie roli decydentów.

W pamiętnym 1990 r. w niektórych miastach i gminach załatwiono problem na kilku pierwszych sesjach po wyborach. W Starogardzie Gdańskim skutecznie, szybko i całościowo już w czerwcu i w lipcu. O problemie dawno tam zapomniano. „Przy okazji” prezydent miasta, lider miejscowego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, kazał miejskiej firmie „uprzątnąć” pomnik „wdzięczności” armii sowieckiej w centrum miasta. Jeden spychacz załatwił problem, który w wielu gminach wlecze się od 27 lat! Na pytanie z Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, kto mu pozwolił to zrobić, prezydent odpowiedział: „Ja sam. Tam przed wojną rósł dąb wolności z roku 1928”.

Na przeciwległym biegunie starogardzkich porządków był na przykład wielkopolski Ostrzeszów. Przez ponad dwadzieścia lat (!) od pierwszych wyborów samorządowych mieszkańcy tego miasta mieszkali przy ulicach Janka Krasickiego, Hanki Sawickiej, Związku Walki Młodych, Związku Młodzieży Polskiej, Franciszka Zubrzyckiego, Aleksandra Zawadzkiego, Adama Rapackiego, Pawła Findera, Gwardii Ludowej! Pewien radny z Ostrzeszowa wydzwaniał do mnie, jako pracownika Biura Edukacji Publicznej IPN, żebym coś zrobił, bo on się wstydzi za swoje miasto, a kiedy proponuje zmiany, szydzą z niego.

Inicjatywa Janusza Kurtyki

Jako pracownik IPN niewiele mogłem pomóc radnemu z Ostrzeszowa, niewiele mógł zrobić sam prezes IPN. Ale Janusz Kurtyka dostrzegał ten problem i wiem, że boleśnie go przeżywał. W roku 1990 był przekonany, że czyszczenie polskiej przestrzeni publicznej z relikwów sowieckiej propagandy potrwa najwyżej dwa miesiące, bo wymuszają to na radnych mieszkańcy gmin. Stało się inaczej, a ponieważ Kurtyka uważał, że jest to zjawisko upokarzające dla Polski, postanowił rozpocząć mozolną pracę od podstaw. Wyzaczył pełnomocnika prezesa IPN do spraw nazewnictwa. Został nim Maciej Korcuć z krakowskiego oddziału IPN. Jego zadaniem było gromadzenie danych o sowieckich relikwach w przestrzeni publicznej na terenie całego kraju. Korcuć przygotowywał prezesowi pisma do przewodniczących rad gmin i rad miejskich, w których zwracano im uwagę na niegodnych patronów. Te listy były publikowane na stronie internetowej IPN. Publikowano też odpowiedzi zainteresowanych. Czasami były to słowa podziękowania za zwrócenie uwagi, częściej aroganckie wypowiedzi czy wręcz szyderstwa pod adresem IPN, który mógł przecież tylko prosić.

Impas

Po śmierci Janusza Kurtyki w Smoleńsku, za czasów prezesury Łukasza Kamińskiego, strony na portalu IPN poświęcone nazewnictwu nagle któregoś dnia zniknęły. Nie wiem, czy ktoś uznał, że akcja jest mało skuteczna (jeśli tak, to tym bardziej wymagała kontynuacji i wykorzystania innych form presji!), czy uznano, że problemu już nie ma... Niestety, problem pozostał, o czym przypominały media. Tylko że teraz, po wielu nieskutecznych próbach, umocnili się w swych przekonaniach piewcy Gwardii Ludowej i miłośnicy dąbrowszczaków jako rzekomych rycerzy demokracji, a nie armii Kominternu, czyli międzynarodowej organizacji partii komunistycznych, którą przecież byli. Jeden z radnych w Koszalinie tak uzasadnił brak zgody na zmianę nazwy ulicy z Gwardii Ludowej na Rotmistrza Pileckiego: „Kiedy idę tą ulicą, to od razu się prostuję i idę sprężystym krokiem, jak gwardzista”. No cóż, żadna z ustaw samorządowych nie zabraniała wybierania na radnych gwardzistów... Wystarczyła odpowiednia liczba głosów.

Wyklęci siłą napędową

Wobec tego impasu i przy braku energicznych działań ze strony IPN, do głosu dochodzili wolontariusze, zwłaszcza młodzież uzbrojona w komputery. „Gwardzistę” z Koszalina spacyfikowała właśnie taka młodzież i rtm. Pilecki wszedł do spisu patronów koszalińskich ulic. Powstał ruch społeczny domagający się prawdziwej historii Polski i szacunku dla bohaterów. Potężnym impulsem dla tego ruchu stało się ustanowienie przez Sejm RP, w lutym 2011 r., święta państwowego – Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Wiadomo było od początku, że armia Wyklętych pogoni „gwardzistów”, nie da się bowiem pogodzić patriotycznych opaw stadionowych i narastającego kultu takich postaci, jak Hieronim Dekutowski „Zapora”, Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, Danuta Siedzikówna „Inka” czy Łukasz Ciepliński „Pług”, z załganą, postsowiecką narracją.

Ultimatum

Przyjęcie przez Sejm nowej kadencji ustawy z 1 kwietnia 2016 r. „o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego przez nazwy budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej” (ogłoszonej w Dzienniku Ustaw RP 1 czerwca 2016 r., poz. 744) to zasadniczy zwrot w sprawie oczyszczenia przestrzeni publicznej w Polsce. To zerwanie z przekonaniem, że przestrzeń „sama” się wyczyści, bo przecież nie akceptujemy komunizmu. Owszem, wyczyści się, ale pod rządami tej ustawy, a IPN nie musi już prosić o szacunek dla bohaterów narodowych, ale wydaje opinie w sprawie tych nazw, jako wyspecjalizowana agenda państwowa, stworzona m.in. właśnie do tego.

Po tym wszystkim, czego naród polski doznał od komunizmu sowieckiego, ponad ćwierć wieku po nominalnym jego upadku w Polsce, trzeba było sejmowej specustawy, by pozbyć się miazmatów tego zbrodniczego systemu.

Ustawa dotyczy nie tylko patronów już ustanowionych, ale także tych, którzy są proponowani dla nowych ulic i obiektów. Generalna zasada jest taka, że na terytorium RP, w nazwach „budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej” (więc także ulic i placów), nie mogą się pojawiać „osoby, organizacje, wydarzenia lub daty”, które gloryfikowałyby „komunizm lub inny system totalitarny”. Ustawodawca uściśla, na czym w przestrzeni publicznej polega propagowanie komunizmu. To nie tylko postaci i wydarzenia symboliczne dla komunizmu (w domyśle – komunizmu sowieckiego w Polsce). To także osoby, organizacje, wydarzenia i daty, które symbolizują „represyjny, autorytarny i niesuwerenny system władzy w Polsce w latach 1944–1989”.

Stwierdzenie przez wojewodę, przedstawiciela państwa polskiego, nadania albo obecności takiej nazwy w którejś z gmin na terenie województwa skutkuje unieważnieniem takiej uchwały. Tu przypomnijmy, że wojewodowie od początku odnowienia samorządu terytorialnego w Polsce, od 27 maja 1990 r., sprawują nadzór nad uchwałodawstwem gminnym. Ten nadzór dotyczył jednak tylko zgodności podejmowanych uchwał z prawem. Ustawa kwietniowa wprowadziła nowy element – ochronę przestrzeni publicznej, edukacji, właściwego stosunku do zbrodniczych systemów, które zabrały życie milionom Polaków. Ta ustawa to prawdziwe ultimatum dla gmin lekceważących imponderabilia narodowe. Niedostosowanie się do zaleceń wojewody, który korzysta z opinii Instytutu Pamięi Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, może skutkować kompromitacją samorządu: jeśli w ciągu trzech miesięcy od uprawomocnienia się decyzji organu nadzorczego, rada gminy (miasta) nie wprowadzi nowej nazwy, zrobi to sam wojewoda. W niektórych mediach podniesiono krzyk, że to „zamach na samorząd”. To nie zamach. Jeśli samorząd toleruje

przez ponad ćwierć wieku nazwy gloryfikujące osoby i organizacje zbrodniczego systemu, to należy to uznać za porażkę tego samorządu.

Stare nowe kłamstwa

Niektóre media wyspecjalizowały się w kłamstwach i szyderstwach związanych z ustawą kwietniową. Dotyczą one zwłaszcza funkcji eksperckiej IPN, który na przykład domaga się zniesienia ul. Dąbrowszczaków, a przecież byli to „ochotnicy wolności” [!], którzy jako pierwsi przeniknęli przyszłość i zobaczyli wojska Adolfa Hitlera w Polsce... Szkoda, że nie zobaczyli ludobójstwa na sowieckiej Ukrainie i wielkiej czystki w Sowietach. Szkoda, że ich wyobraźnia nie ogarnęła bliskiego aliansu dwóch zbrodniczych systemów, bezpośredniej przyczyny najkrwawszej z wojen.

Jedna z gazet opublikowała przed kilkoma miesiącami zdjęcie dwojga ludzi o kulach. Myślałem, że to artykuł o ubezpieczeniach społecznych, ale to było o zmianach nazw ulic... Schorowana pani Waleria i poruszający się o kulach pan Władysław, mieszkający przy ul. Dąbrowszczaków, będą musieli iść o kulach do urzędu, żeby wymienić dowód osobisty. Czy IPN myśli też o takich ludziach? – pyta „zatroskany” dziennikarz. Myśli. Myśli, by ci ludzie nie czytali takich gazet.

Terminy

Akcja oczyszczania przestrzeni publicznej została zaplanowana racjonalnie, na wiele miesięcy, by uniknąć pomyłek i dać szansę samorządom – w świetle prawa odpowiedzialnym za obecny stan rzeczy – na samooczyszczenie; by uniknąć ich kompromitacji: nadania nazwy na podstawie zarządzenia zastępczego wojewody, a nie uchwały radnych. Ustawodawca przewiduje, że zmiany, których trzeba dokonać w świetle ustawy, powinny się zakończyć w ciągu dwunastu miesięcy od wejścia ustawy w życie, czyli do 1 września tego roku.

Nie ma żadnych kosztów

Ustawodawca stanowi, a raczej reasumuje to, co już wcześniej było znane: „zmiana nazwy dokumentu na podstawie ustawy nie ma wpływu na ważność dokumentów zawierających nazwę dotychczasową”. Wszelkie pisma oraz ewentualne postępowania sądowe i administracyjne w sprawach około ustawy „są wolne od opłat”.

Nie ma żadnych kosztów prócz jednego – upokarzającej świadomości, że po tym wszystkim, czego naród polski doznał od komunizmu sowieckiego, ponad ćwierć wieku po nominalnym jego upadku w Polsce, trzeba

było sejmowej specustawy, by pozbyć się miazmatów tego zbrodniczego systemu.

Tekst pochodzi z nr 5/2017 „Biuletynu IPN”

COFNIJ SIĘ